WIKTOR LLONA.

Literat Pat O'Connor.

Sam, bez zajęcia, obcy w New Yorku, spędziłem wieczór w kinie. Poczem wzięła mnie ochota na kufel piwa i zakąskę przed udaniem się na spoczynek.

Dokąd pójść? Przypomniałem sobie pewien „night club", do którego wprowadził mnie przed kilku dniami jeden z przyjaciół.

Znalazłem niebawem lokal. Stosując się do danych mi wskazówek, wołam po trzykroć, raz długo, dwa razy krótko. Okrągłe okienko w dębowych drzwiach odchyla się i majaczy mi w półcieniu skrawek czarnej skóry z osadzonem w niej błyszczącem okiem. Mówię szeptem hasło. „I want to be happy" (chcę być szczęśliwy). Drzwi otwierają się i murzyn wpuszcza mnie do lokalu.

„Night Club" mieści się na parterze. — Gości mało. Jazz rzępoli zcicha. Pary kręcą się. Pierwszą osobą, którą spostrzegam jest Pat O'Connor — Irlandczyk, stary znajomy z Paryża, siedzący przed lampką „high ball" w towarzystwie efektownej od stóp do głowy czarno ubranej brunetki.

Ostatnia powieść Pat'a O'Connora pod tytułem „Taniec guślarza" o bajecznej niemal cyfrze wydań, przystosowana na scenę i do kinematografu, tłumaczona na wszystkie języki, czyniła go z dnia na dzień coraz sławniejszym. Sylwetka wykrojona przez specjalistę z tej książki figurowała stale na afiszach teatru w Broadway, gdzie promieniowało ognistemi literami każdego wieczora nazwisko Molly Flanders, głównej interpretatorki.

Kiedy spotkałem się po raz pierwszy, przed czterema czy pięcioma laty z Pat'em O'Connorem w Paryżu, był goły jak święty turecki, zawsze pijany i żył na koszt swej przyjaciółki ładnej i wytwornej Amerykanki, byłej nauczycielki w Middle West. Zdolna dziennikarka przytem, przebywała w Paryżu z ramienia wielkiego dziennika amerykańskiego, świetne jej artykuły bowiem były rozchwytywane przez publiczność. Spotkawszy na swoje nieszczęście na drodze swego życia Pat'a O'Connora zakochała się w nim bez pamięci.

Nieraz zadawałem sobie pytanie, co mogło pociągnąć ową pełną arystokratycznej dystynkcji kobietę do tego degenerata, nałogowego pijaka, patentowanego leniucha i gruboskórnego cygana. Z czasem jednak znalazłem rozwiązanie zagadki: jak większość jego ziomków Pat O'Connor posiadał niezwykle bujną wyobraźnię, żywy temperament, polot poetycki oraz ów niezrównany dar słowa i blagowania, czynający z Irlandczyków najbardziej przykuwających gawędziarzy. Nim Pat O'Connor napisał powieść, przeżywał ją i opowiadał od początku do końca, czarując swe audytorjum. Słuchając go, niesposób było wątpić o jego talencie literackim. To też udzielano mu z początku kredytu przed ukazaniem się powieści. Rozczarowano się jednak niebawem: w książce bowiem na papierze twory jego wyobraźni traciły czemś sztucznem, martwem. Brakło temu olśniewającemu narratowi staranności opracowania, zmysłu krytycznego i metody. Ci, co go znali oddawna i przepadali za jego opowiadaniami nie brali książek jego do ręki. Przybysze zato padali ofiarą złudzenia i dawali się wziąć na lep gawędziarskiej swadzie Irlandczyka... Należała do nich Mary Rogers, a Pat O'Connor uchwycił się jej jak topielec ostatniej deski ratunku.

Z czasem wymógł na kochance, że zredagowała bruljon powieści, którą opowiadał wszystkim od miesiąca. Zretuszował go później wprawną ręką fachowca, a kiedy Mary przepisała bruljon na czysto, poprawił znów niektóre zdania i wymyślił po przedyskutowaniu z Mary tytuł „Taniec guślarza". Gotowy już rękopis Mary Rogers „wystukała" na maszynie. Pat O'Connor tymczasem obiegał swoim zwyczajem cukiernie i wróciwszy podpisał bez wahania tekst swojem tylko nazwiskiem, dedykując wspaniałomyślnie powieść Mary, jej autorce właściwie. Wydawca Pata był zachwycony. Nareszcie genjalny literat stworzył godne siebie dzieło. Wypłacił rzekomemu autorowi zgóry suty awans, pozwalający mu żyć wraz z Mary dostatnio do czasu ustalenia prawa autorskiego. Otrzymawszy gotówkę Pat O'Connor, który zawarł w międzyczasie znajomość z jakąś kosmopolityczną awanturnicą, uciekł z nią niewiadomo dokąd, zabierając pieniądze i bruljony „Tańca guślarza" nie pozostawiwszy ani jednego arkusza...

Ostatnie posunięcie otworzyło wreszcie oczy Mary Rogers, na to z kim miała do czynienia. Nazajutrz pogotowie ratunkowe odwiozło ją do amerykańskiego szpitala w Neuilly, gdzie walczyła trzy tygodnie ze śmiercią naskutek zażycia dużej dozy veronalu. Kiedy opuściła dom zdrowia, nikt nie mógł poznać w tej starej, wychudłej, jakby zgaszonej kobiecie, pięknej Mary Rogers.

* * *

Łatwo wobec powyższego zrozumieć, że ujrzawszy Pat'a O'Connora w towarzystwie eleganckiej i ładnej kobiety, w nocnym barze, wzdrygnąłem się z oburzenia na myśl, że za dolary skradzione Mary Rogers hula w New Yorku; chciałem cofnąć się i poszukać innego nocnego lokalu; lecz Pat O'Connor spostrzegł mnie, ryknął na całą salę:

— Hallo! Cudzoziemcze! Chodź, niech cię przedstawię najpiękniejszej ozdobie sceny newjorskiej! Pan Lacaussade przyjaciel z Paryża, miss Molly Flanders.

Usiadłem więc przy ich stoliku, obstalowując piwo i zakąskę. Pat był zupełnie pijany i ledwie trzymał się na nogach. Zmienił się bardzo od czasu owych dni i nocy spędzonych w Montparnasse. Alkohol wycisnął na jego twarzy swe ohydne piętno.

— Pomówimy o tym drogim starym Paryżu — mówił urywanym czkawką głosem, siadając ociężale.

— Któż panu broni wrócić do Paryża, skoro go tak mile wspominasz?

— Nie mogę narazie. Muszę dotrzymywać towarzystwa Molly — odparł tajemniczo.

— ? ? ? !

— Cóż to? Z księżyca spadłeś, kolego? Wszak Molly Flanders jest gwiazdą „Tańca guślarza". To dobry interes; nie wypuszczę go z rąk nim...

— Nie wyciśniesz jak cytrynę. Dobry z pana handlowiec, wiadomo — ironizowałem.

— I prostak — wtrąciła Molly z goryczą.

— Ale nazajutrz po statniem przedstawieniu — ciągnął dalej nie zwracając uwagi na artystkę — wsiadam na okręt i zobaczysz kolego jaką powieść — jak kura jaje—zniosę!

— Po co czekać? Kuj pan żelazo, póki gorące i pisz powieść na miejscu, niezwłocznie.

— Nie mogę pracować tutaj. W New Yorku niema warunków dla artysty. Brak człowiekowi natchnienia w tej damnet city (przeklęte miasto).

— Podobno. Ale, gdybyś pan, między nami mówiąc, przestał pić...

— Mój drogi panie — wybuchnęła Molly — nie trać czasu daremnie. Z jego powodu Ameryka jest przecież sucha...

— Nie pić! — zaśmiał się Pat, patrząc na mnie z politowaniem — pomysł godny Francuza! Alkohol zresztą nie przeszkadzał mi nigdy w pracy. Przeciwnie! Waiter! (garson) jeszcze high-ball! Prędko!

— Nie dla mnie — podchwyciła Molly wstając. Skinęła mi głową i nie spojrzawszy na Pat'a szybkim krokiem przeszła przez salę. Drzwi zatrzasnęły się za nią. Pat O'Connor splunął ostentacyjnie.

— Dobranoc — rzuciłem mu, zabierając się do wyjścia.

— Ach! Paryż! Paryż! — bełkotał idąc za mną — kolega masz pewnie jego nowinki! Ciepłe jeszcze! Jack, Franck, Humpherg, Smith, dawno ich widziałeś?

Patrzał na mnie zpodełba.

— A Rózia? Co się z nią dzieje? — indagował dalej nieco zmieszany.

Spojrzałem mu w oczy nie wierząc uszom swoim. Rózia była serdeczną, nierozłączną przyjaciółką Mary Rogers.

— Gdzie mieszka? — bełkotał Pat. — od wróciwszy wzrok w inną stronę. Milczałem, obiecując sobie rozstać się z nim na pierwszym rogu ulicy.

— Daj mi kolega jej adres — nalegał mój towarzysz, nadrabiając miną. — Chciałbym, żeby omówiła z... z... swoją przyjaciółką... Niech puści w niepamięć. Trzeba kuć żelazo, póki gorące... dokończył i zaśmiał się z przymusem.

Oddaliłem się szybko bez pożegnania. Od tąd, ilekroć się spotykamy, Pat O'Connor udaje, że unika mego wzroku.

Tłum. Jotsaw.

Redaktor: Klemens Orchulski.

Odbito w drukarni „Kurjera Łódzkiego".

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO".

Rok VI. Niedziela, 24-go listopada 1929 r. Nr. 48.

„Dzielny wojak Szwejk".

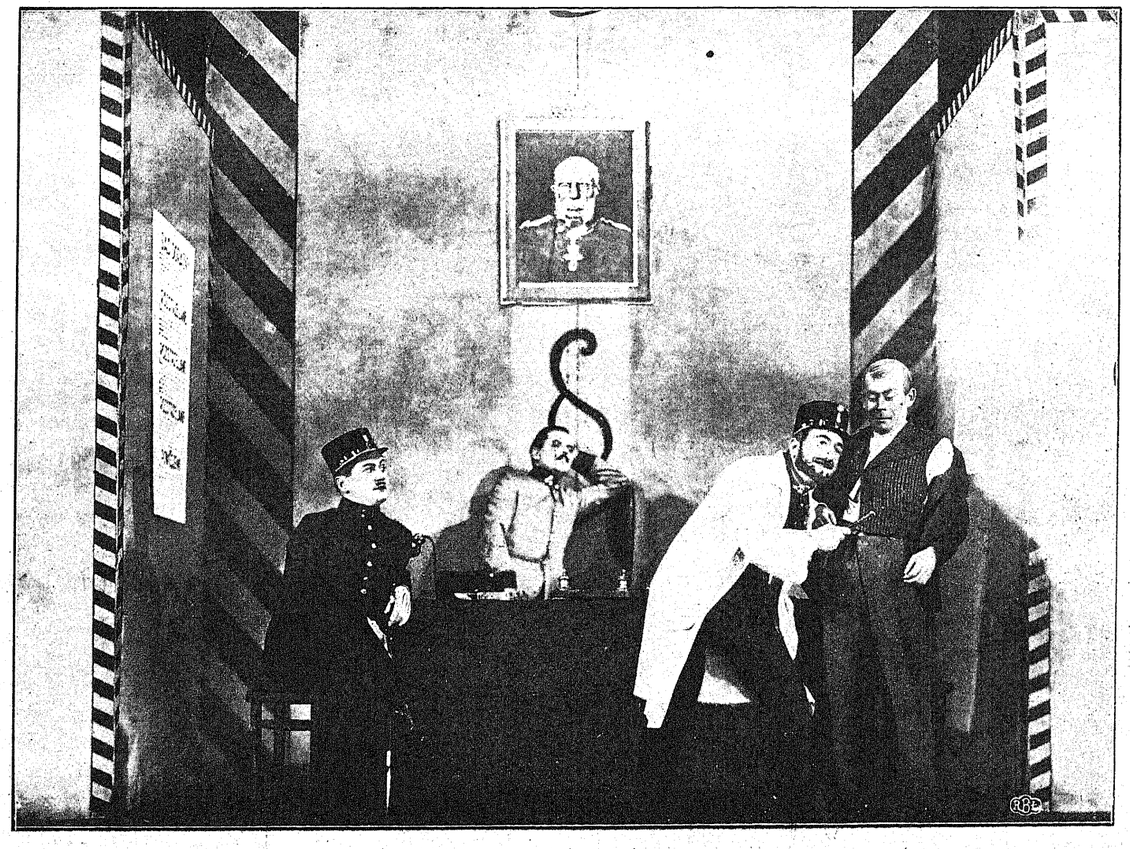

Teatr Miejski w Łodzi wystawił w ubiegłym tygodniu przeróbkę z głośnej powieści Jarosława Haśka, ciętą satyrę p. n. „Dzielny wojak Szwejk".

Na zdjęciu powyższem widzimy fragment jednego z aktów tej sztuki, wyobrażający wojskową komisję lekarską. W roli „Dzielnego wojaka Szwejka" wybitny artysta i niezrównany komik, p. Michał Znicz.

TEATRALJA.

„Koniec Wędrówki". — Z teatru w Toruniu. Repertuar teatrow paryskich. — Mussolini a Toscanini. — Drobiazgi z za kulis.

Z wielką starannością, w znakomitej reżyserji R. Ordyńskiego wystawił Teatr Narodowy głośną sztukę angielską R. C. Sheriffa, p. t. „Koniec wędrówki", która słusznie zestawiana jest z niemniej głośną powieścią Remarque'a. Sztuka Sheriffa, rozgrywająca się w okopach angielskich pod St. Quentin, aczkolwiek nie posiada ścisłego wątku akcji dramatycznej i jest raczej szeregiem wojennych epizodów, unaoczniających rozległą skalę przeżyć pozostającego w piekle okopów człowieka, posiada przecież w rzadko spotykanym stopniu siłę prostoty i bezpośredniości, co właśnie stanowi główną jej wartość i podstawowy czynnik powodzenia. „Koniec wędrówki" napisał człowiek, który tragedję frontowego życia sam przeżył i przecierpiał, dlatego też jasno i plastycznie, bez literackiego i teatralnego efekciarstwa potrafi tę prawdę wojny innym opowiedzieć. Sheriff wyprowadził na scenę kilku oficerów angielskich, wciągniętych w tok bezpośredniej akcji wojskowej, przyczem każdy z tych ludzi reprezentuje odrębny typ psychologiczny, odmiennie reagujący na rzeczywistość wojenną i inną względem niej zajmujący pozycję. W tendencji niewątpliwie pacyfistyczna, sztuka Sheriffa propaguje przecież ten pacyfizm w sposób spokojny nie hałaśliwy, nie apodyktyczny, wyznaczając w zawiłym kompleksie wojennym właściwe miejsca nietylko pojęciom i zasadom humanitaryzmu, lecz zarazem — czynnikiem męstwa, honoru, obowiązku, samozaparcia. W przeżyciach, myślach i postępkach galerji oficerów angielskich, wyprowadzonych na scenę, maluje autor „Końca wędrówki" całą skalę stanów psychicznych od bohaterstwa do tchórzostwa, podkreślając przytem, że te dwa krańcowe pojęcia, jeśli pominiemy okoliczności zewnętrznego sztafażu, sąsiadują z sobą w istocie bardzo blisko, ocierając się niemal o siebie w pewnych decydujących dla hartu psychicznego i nerwowej wytrzymałości momentach. Jednym z najciekawszych i najcharakterystyczniejszych epizodów sztuki Sheriffa jest ten, gdy dowódca odcinka kapitan Stanhope, nieustraszony w oczach całego otoczenia człowiek wojny, zwierza się jednemu ze swych tchórzących w obliczu śmierci podwładnych, że to uczucie instynktownego strachu jest i jemu samemu aż nazbyt dobrze znane, że przeżywa on je nie raz jeden, cała zaś sztuka i całe zadanie oficera polega na tem, by tego uczucia wobec podwładnych nigdy nie okazać, by nie dać nigdy po sobie poznać tej strasznej walki wewnętrznej, jaką każdy człowiek, w mundurze lub bez, stając oko w oko z niebezpieczeństwem unicestwienia — przechodzi...

Oczywiście, podchodząc do tych niezwykle skomplikowanych zagadek psychologicznych, z któremi porać się musi raczej nauka niż literatura, Sheriff nie daje ostatecznych wyjaśnień, ani ostatecznych konkluzyj, dla tej prostej przyczyny, że dać ich nie może. Dla widza — pozostaje bogaty, w sceniczną formę ujęty, materjał obserwacyj wojennych, zebrany przez uczestnika krwawych zapasów światowych, i każdy — kto po wyjściu z teatru zastanawiać się dalej będzie — musi, wedle swego rozumienia i odczucia, poruszone rzez autora problematy traktować.

Sztuka Sheriffa jest konstrukcyjnie mocna, mądra, prawdziwa i szlachetna. Przyjęto ją w Warszawie z wielkim aplauzem, a do tego wyjątkowego sukcesu przyczynia się również doskonała obsada aktorska, z pp. Węgrzynem, Szymańskim, Biegańskim i Orwidem na czele.

Otrzymujemy szereg informacyj o teatrze toruńskim, który, pod kierownictwem p. J. Rygiera, składa w bieżącym sezonie dowody energji i tężyzny. Na inaugurację grano „Śluby panieńskie", w następnych zaś tygodniach wystawiono kolejno: „Józefa" — Kalkowskiej, „Proboszcza wśród bogaczy" — Vautela, „Na zawsze" — Rydla, „Adwokata i Róże" — Szaniawskiego, „Nadzieję" Heijermansa. Z udziałem Osterwy grał teatr toruński „Fircyka w zalotach", zaś Malickiej i Węgierki „Świt, dzień i noc" — Niccodemi'ego. Repertuar, jak widzimy, dość różnorodny i wszechstronny, a sztuki o poważniejszej wartości artystycznej. Biorąc pod uwagę trudności egzystencji każdego prowincjonalnego zespołu, i konieczność częstego wystawiania premjer to musimy przyznać że teatr polski w Toruniu dobrze i ze zrozumieniem wywiązuje się z włożonych nań zadań.

Wielkie zainteresowanie w świecie muzyczno-teatralnym wzbudziła sygnalizowana już przez nas wiadomość o opuszczeniu medjolańskiej La Scali przez słynnego dyrygenta Toscanini'ego. Jak obecnie informuje prasa zagraniczna, exodus Toscanini'ego posiada podkład polityczny, mianowicie wzajemną antypatję pomiędzy znakomitym muzykiem a organami faszystowskiej dyktatury. Na tle tych różnic powstawały częste zatargi, gdyż dyrygent opery nie chciał i nie umiał przystosowywać się do bałwochwalczych wymagań różnych faszystowskich zelantów, którym zbyt często i przeważnie nie wpore przychodziło do głowy żądać od orkiestry, prowadzonej przez Toscanini'ego, odgrywania różnych faszystowskich hymnów, marszów itp. Toscanini, drogą milczących demonstracyj, protestował niejednokrotnie przeciwko odziewaniu orkiestry operowej w liberję p. Mussolini'ego, aż wkońcu, szykanowany przez różnych pomniejszych dyktatorków, miał dość tego wszystkiego i postanowił opuścić Medjolan. Pomimo czynionych później różnych kroków pojednawczych, Toscanini nie zmienił postanowienia i wyjechał już do Ameryki, gdzie obejmie batutę kapelmistrzowską w wielkim teatrze nowojorskim „Metropolitain Opera House".

Delta.

* * *

P. Michał Znicz, czołowy artysta Teatru Miejskiego, w głównej roli wystawionej satyry Haśka p. n. „Dzielny wojak Szwejk".

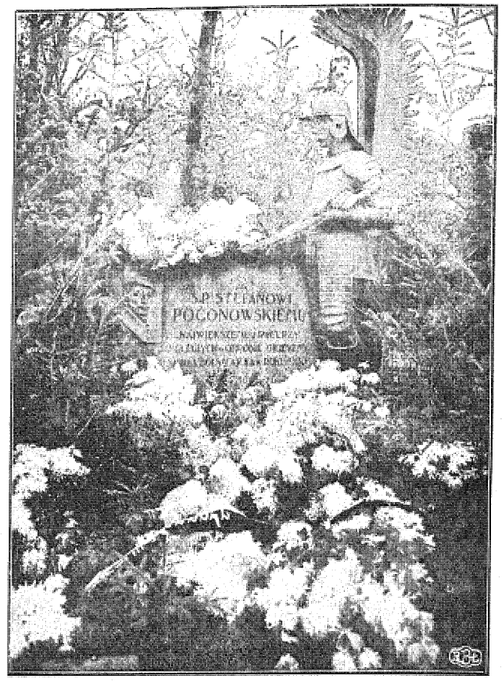

Na starym cmentarzu katolickim odbył się uroczysty akt odsłonięcia pomnika na mogile ś. p. kapitana Stefana Pogonowskiego, poległego śmiercią bohaterską na polu chwały w roku 1920. Powyżej mogiła bohatera z pomnikiem wyobrażającym rycerza z pod pancernego znaku. Fot. Meyer.

Zakłady ogrodnicze „Marysin".

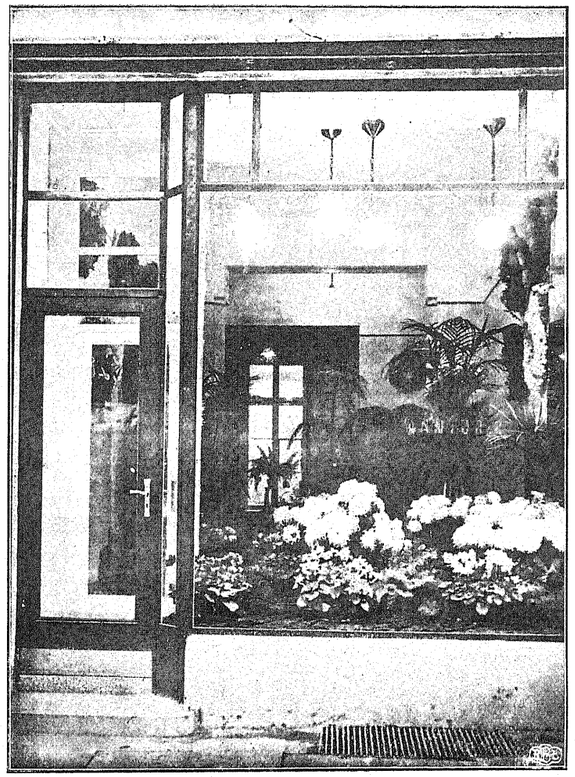

Znane są w Łodzi kwiaciarnie wielkich zakładów ogrodniczych „Marysin", mieszczące się w Rudzie Pabjanickiej przy ulicy Szkolnej 7. Na zdjęciu powyższem widzimy witrynę kwiaciarni I-ej filji „Marysin" przy ul. Piotrkowskiej 76.

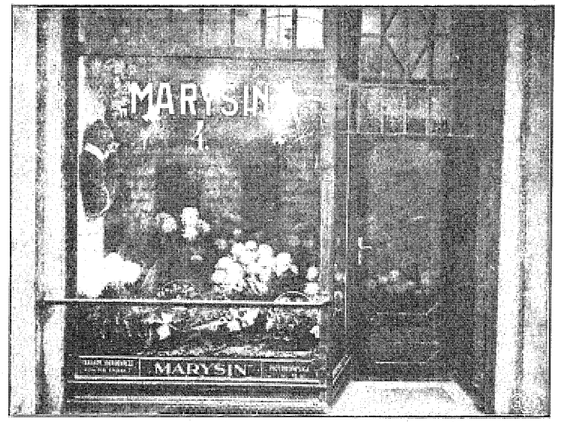

Druga filja zakładów ogrodniczych „Marysin", mieszcząca się w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 4.

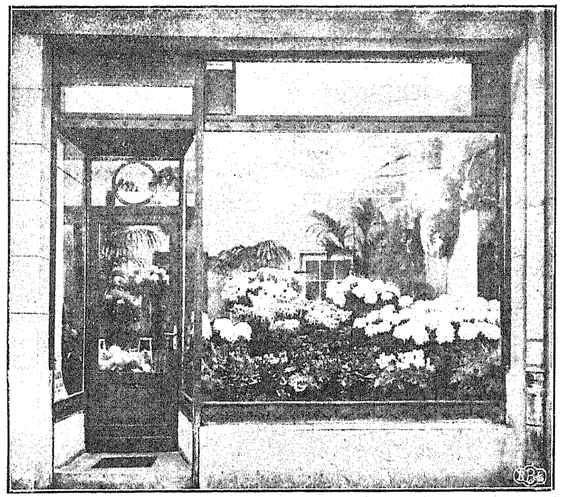

Trzecia filja zakładów „Marysin" przy ul. Piotrkowskiej 161.

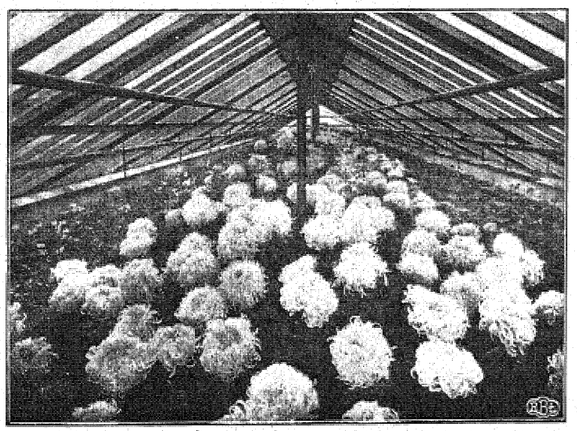

Wzorowo urządzone oranżerje zakładów ogrodniczych „Marysin". Powyżej cieplarnia w oddziale chryzantem.

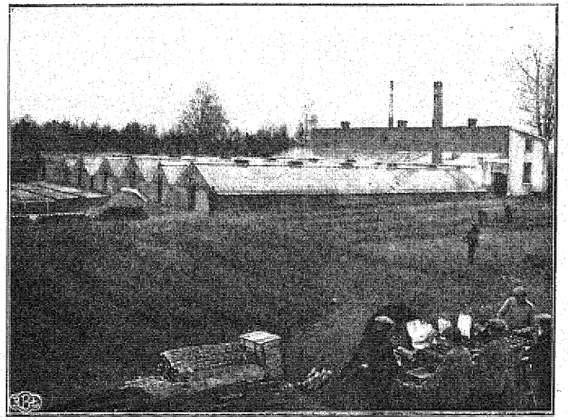

Ogólny rzut oka na zakłady ogrodnicze „Marysin" w Rudzie Pabjanickiej przy ul. Szkolnej 7. Fot. A. Mayer.

3-ci
KONKURS
„Kurjera Łódzkiego"
dla naszych milusińskich

p. n.

„TYP DZIECKA POLSKIEGO"

W konkursie tym mogą wziąć udział wszystkie dzieci od lat 2—7, których rodzice winni nadesłać do redakcji „Kurjera Łódzkiego"

fotografje, oznaczone godłem,

nazwisko zaś imię i adres, winno być załączone w drugiej zamkniętej kopercie, oznaczonej tem samem godłem. Reprodukcje fotografij zamieszczane będą co tydzień w dodatku „Łódź w Ilustracji" w ilości od 12—20.

Gdyby fotografij w którymkolwiek tygodniu było więcej, kolejność umieszczania nastąpi w drodze losowania.

Konkurs trwa do 1 kwietnia 1930 r.

Wszyscy czytelnicy mogą głosować na wybrany przez siebie typ wycinając odnośny kupon, znajdujący się w każdą niedzielę w „Kurjerze Łódzkim". Na kuponie tym należy wpisać tylko godło dziecka, na które się głosuje i w zamkniętej kopercie z nagłówkiem „Na konkurs" nadesłać pod adresem „Kurjera Łódzkiego"

Losowanie nastąpi w obecności członków redakcji po dniu 1 kwietnia 1930 r. Jako nagrody redakcja „Kurjera Łódzkiego" przeznacza dla dzieci na które padnie zkolei największa ilość głosów:

I Kompletne ubranko letnie, składające się z garniturku, względnie sukienki, trzewiczków i kapelusika oraz żeton złoty.

II Rower dziecinny, względnie kolczyki złote oraz żeton srebrny.

III „Niezdobyta forteca" albo piękna lala i żeton bronzowy.

IV „Krokodyl" lub wielka piłka gumowa.

V 6 książek w ozdobnej oprawie z bajeczkami ilustrowanemi.

Godło „Zdzisia".

Godło „My pierwsza Brygada".

Godło „Brzdąc".

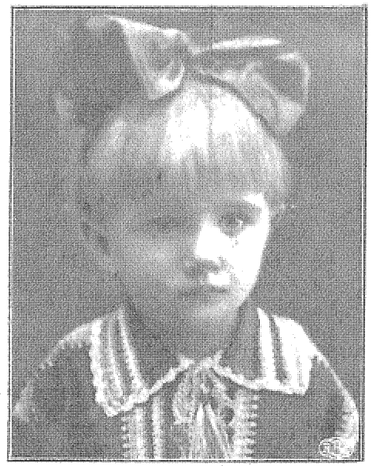

Godło „Blondynka".

Godło „Ilusia".

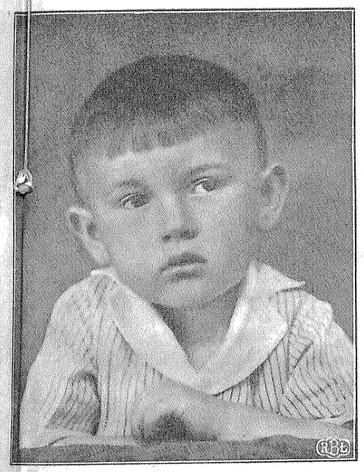

Godło „Batory".

Godło „Krakowianka".

Godło „Orlę".

Godło „Nasz ułanik".

Godło „Eros".

Godło „Dzikuska".

Godło „Juras".

Ś. p. Anna Lisner, b. obywatelka m. Łodzi, jedna z założycielek znanego sklepu konfekcyjnego p. n. „Dom towarowy B. Lisner", fundatorka organów w katedrze łódzkiej, zmarła dnia 17 b. m.

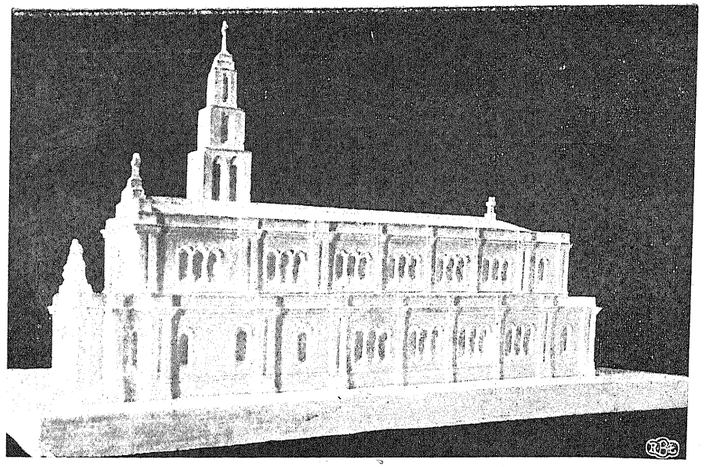

Model projektowanego kościoła garnizonowego w Łodzi. Kościół ten wzniesiony zostanie po dokonanej przebudowie dotychczasowego kościoła garnizonowego, zbudowanego ongiś przez zaborców w stylu cerkiewnym wschodnim, obcym duchowi polskiemu.

W rocznicę 11 listopada w sali klubu Pracowników Zjednoczonych Zakładów Przemysłowych Scheiblera i Grohmana odbyła się akademja. Powyżej uczestnicy akademji, którzy jednocześnie owacyjnie przyjmowali p. dr. Alfreda Grohmana, odznaczonego komandorją „Polonia Restituta".

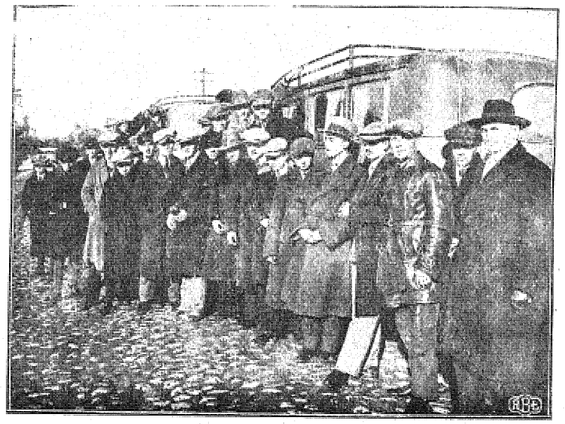

Grupa uczestników wycieczki, uczniów klasy trzeciej Szkoły Zawodowej Dokształcającej Nr. 12 w drodze do cukrowni „Leśmierz". Fot. A. Mayer.

W ubiegłym tygodniu w kościele św. Józefa odbyła się podniosła uroczystość srebrnych godów pp. Marji i Karola małżonków Ruprecht. Powyżej podajemy podobizny jubilatów.

Członek redakcji „Kurjera Łódzkiego" w dziale sportowym, p. Władysław Kozielski, odznaczony bronzowym Krzyżem Zasługi, za działalność na polu wychowania fizycznego.

Towarzystwo Przyrodnicze im. Staszica w Łodzi zorganizowało wystawę p. n. „Przyroda Polski jej piękno i ochrona". Powyżej fragment z uroczystości otwarcia wystawy tej, mieszczącej się przy ul. Gdańskiej 111.

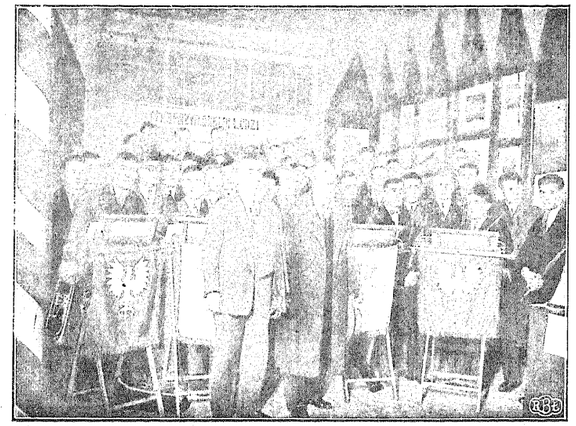

Orkiestra uczniowska Państwowej Szkoły Włókienniczej, produkująca się w czasie uroczystości otwarcia wystawy przyrodniczej w Łodzi.

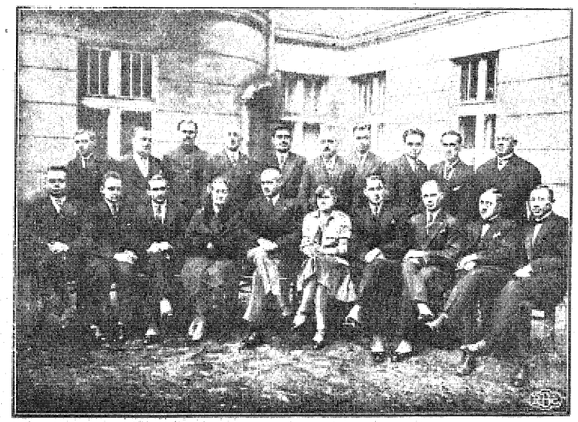

W ubiegłym tygodniu grono pracowników Wojewódzkiego Zw. Kółek Rolniczych i Okręgowych Związków Kółek Rolniczych województwa łódzkiego żegnało uroczyście ustępującego kierownika Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych, p. Witolda Rayskiego.

Łódź w rocznicę 11-go listopada. Na zdjęciu powyższem widzimy fragment defilady. Oddział policji konnej zamykający defiladę przy ul. Piotrkowskiej.

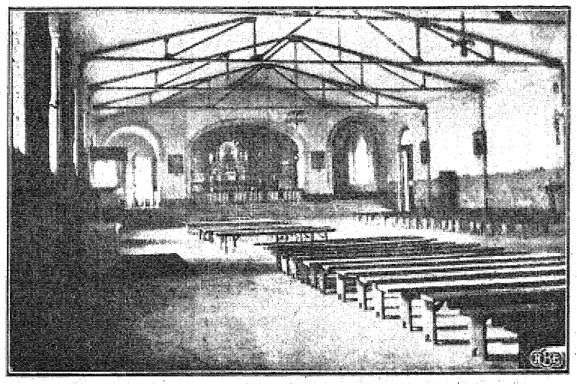

Wnętrze dotychczasowego kościoła garnizonowego przy ul. Św. Jerzego. Kościół ten, jak zaznaczyliśmy wyżej, ulegnie przeróbce.

Fragment z pogrzebu zmarłego tragicznie w Warszawie b. p. Marcelego Barcińskiego, dyrektora Związku Wielkiego Przemysłu w Łodzi oraz miejscowego przemysłowca. Fot. Meyer.

HENRYK BORDEAUX.

Szafarze złudzeń.

W mojem rodzinnem mieście, dokąd zaglądam stale co pewien czas, miałem przed wielu laty wizytę nowego przybysza, który osiedliwszy się tam niedawno zapisał się na listę adwokatów. Nazywał się Pagny i opowiadano o nim cuda. Osoba jego otoczona była tajemniczością. Nie wiedziano nic zgoła o jego rodzinie. Mieszkał samotnie i był w sobie zamknięty. Sądząc z opowiadań moich znajomych o nim, wyobrażałem go sobie, jako osobnika w rodzaju Alberta Savarus'a, knującego po cichu jakąś ambitną intrygę.

— Powinien był pozostać w Paryżu! Jest dość zdolny na to, aby zrobić tam karjerę! — napomykali koledzy jego po fachu, zaczynający obawiać się rywala.

Rzeczywiście. Dlaczego wybrał prowincjonalne miasto?

Postawiłem mu to pytanie, tem swobodniej. że odpowiedź, ta czy inna, była mi najzupełniej obojętną.

— Dla bardzo prostej przyczyny — odparł mi — nie miałem czasu czekać.

— Nie miał pan czasu?

— Oczywiście. Moje dochody bowiem wyczerpały się z chwilą ukończenia fakultetu prawniczego przeze mnie. Musiałem zarabiać na życie, nie zwlekając, a Paryż w tych warunkach nie mógł mi odpowiadać.

— Zapewne... Ryzykowałeś pan jednak osiąść na mieliźnie, gdyż prowincja jest wrogo usposobiona dla obcokrajowców zazwyczaj. Z nieufnością odnosi się do nich. Tysiące przykrych figli płata im nieraz.

— Naogół, lecz nie w interesach. Skoro tylko sakiewka z pieniędzmi wchodzi w grę, każdy słucha głosu rozsądku wyłącznie Ja zaś pewien jestem, że potrafię przemówić ludziom do rozumu. Moja metoda jest niezawodna.

Wyglądał w istocie bardzo zadowolony z siebie, bez pompatyczności, bez emfazy, naturalnie, jak uczony w posiadaniu rozwiązania problemu matematycznego.

— Jaką jest pańska metoda, jeśli wolno zapytać?

— Najprostsza w świecie: mówię prawdę podczas kiedy moi koledzy są przeważnie szafarzami złudzeń. Słucham mych klientów uchem objektywnem, że się tak wyrażę, puszczając kantem wszystko osobiste w ich wywodach. Obdzieram jednem słowem sprawę z wszelkich niepotrzebnych akcesorjów i widzę ją w jej nagości. Wówczas dopiero rozpatruję ją, rozważam, szacuję i idę na pewniaka.

— Cóż pozostaje ze sprawy odartej z owych „niepotrzebnych dodatków?"

— Prawie nic. Większość procesów nie warta obrony. I dlatego też wszystkie niemal załatwiam nim stanę przed kratki sądowe.

— Czyli kierujesz się pan przysłowiem: „zły układ jest lepszy od dobrego procesu"?

— Kieruję się moją metodą — odparł urażony. Mówię moim klientom: „macie słuszność" jeśli mają słuszność i „nie macie racji" jeśli nie mają racji. Nigdy żadnych ustępstw, schlebiania, koncesyj... Bronię wyłącznie spraw pewnych, z góry wygranych. Inne umarzam w zarodku. I chwalić Boga w rok niespełna wyrobiłem sobie dobrą opinję, poważanie w trybunale i zaufanie klienteli.

— Jakim sposobem zdobyłeś pan tę cudowną metodę?

— Zawdzięczam ją specjalnym warunkom mej egzystencji i nazwisko moje pochodzi od nazwy wioski nad Mozą, gdzie znaleziono mnie w poczekalni kolejowej wraz z zapieczętowaną kopertą, zawierającą dość znaczną kwotę na pokrycie kosztów bardzo starannego wychowania. Zwierzam się panu z tych szczegółów ponieważ wiem, że nie biorąc udziału w życiu towarzyskiem miasta nie zrobi pan z nich użytku. Oddano mnie do przytułku, potem do liceum, do uniwersytetu wreszcie, gdzie ukończyłem wydział prawny. Opieka społeczna wywiązała się bez zarzutu ze swego zadania, zdając mi rachunek z mego funduszu co do grosza.

— Jak mi pana żal...!

— Żal?! Dlaczego? Jestem najzupełniej zadowolony z mego losu. Nie mam pretensji do nikogo: moi nieznani rodzice obdarzyli mnie inteligencją i środkami do zużytkowania jej, oszczędzając mi natomiast balastu przesadnej uczuciowości. Miałem opiekę dostateczną, dbam o mój rozwój zarówno fizyczny jak i duchowy... Nie! Doprawdy nie jestem pożałowania godny, skoro posiadłem dobro najrzadsze...

— Jakie?

— Bystrość umysłu, przenikliwość, jasność sądu. Patrzę na ludzi okiem zimnem, trzeźwem, nieubłaganem, okiem nie zaprószonem żadnym pyłkiem ludzkich słabostek. Widzę ich takimi jakimi są, nie zaś jakimi wydają się. Dzięki temu nie mylę się. A to ma swoją bezcenną wartość!

* * *

Po jego wyjściu doznałem pewnego rodzaju ulgi. Obecność jego podziałała na mnie jak przeciąg. Uczułem zimno w plecach, lód w sercu. Ten człowiek bez wspomnień swego dzieciństwa, zaznanych pieszczot, pobłażania, połajanek, wzrosły bez ciepła miłości rodzicielskiej — którą śmiał przezwać „przesadną uczuciowością" — bez radości i smutków, nie skarżący się na nic, nie żałujący niczego, nie zazdroszczący nikomu, dumny ze swego objektywnego umysłu i nieomylności sądu — wydał mi się potworem.

Czy to przygotowuje nam ludzkość w przyszłości ze swym komunizmem i autorytetem (main-mise) państwa nad dzieckiem?

Istoty nijakie, bezbarwne, rzeczniczki prawdy bezwzględnej i bezlitosnej, którą my dzisiejsi osłaniamy sobie gęstwinę naszych namiętności i ukochań! Przed mojemi oknami, na pobliskiem polu para wołów ciągnęła powoli brózdy głębokie. Wolarz poganiał je podczas gdy farmer pewną ręką trzymał na czapidze (kozicy). W zimnem czystem powietrzu tego pięknego listopadowego dnia słyszałem wyraźnie ojcowski głos wolarza, zachęcającego swe wołki do pracy pieszczotliwemi zdrobniałemi przezwiskami.

I zwierzęta zatem są uczuciowe, wrażliwe... potrzebuję złudzeń, jak ludzie!

Czy sposób rządzić, władać, sterować, tworzyć bystrym, jasnym mózgiem tylko i silnemi ramiony?

* * *

W dwa lata potem letnią porą mistrz Pagny odwiedził mnie powtórnie. Miał minę stroskaną.

— Przyszedłem pożegnać się z panem — oznajmił mi z pewną uroczystością w głosie.

— Na wilegiaturę zapewne?

— Nie. Wyjeżdżam stąd na zawsze.

— Opuszcza pan swoją klientelę?

— Nie mam jej.

— Dlaczego? Czyżby pańska metoda oparta na bezwzględnej prawdzie zbankrutowała?

— Bardzo trafne określenie. Tak jest, panie Zbankrutowała. Ludzie nie chcą prawdy. Lubują się w kłamstwie!... Kochają swoje złudzenia!...

— Ależ ci sami ludzie obdarzali pana zaufaniem z początku!...

— Dlatego, że byłem „nowem sitkiem na kołeczku". Nowość bawi, pociąga, wabi. Dość mieli schlebiania, nadskakiwania, liczenia się z ich stroną uczuciową więc przychodzili do mnie po nagą prawdę bez osłon, bez złudzeń. Dawali mi brutalizować się. To też rzucałem im tę nagą prawdę tak pełnemi garściami, aż opamiętawszy się zapragnęli znowu iluzyj swoich, zatęsknili do nich i dlatego przeszli ode mnie do moich kolegów, którzy umieją szafować złudzeniami, prawdę zaś... odmierzać na gramy, na uncje, jak najmikroskopijniejszemi dawkami! Ja tego nie potrafię, niestety! Jestem jak Alcest, z którego Molière w wieku XVII już zrobił typ komiczny.

— Cóż poczniesz pan z sobą?

— Wstępuję do administracji.

— Jakiej?

— Opieki społecznej. Zaproponowano mi tam dobre stanowisko. Będę wychowywał dzieci innych, a raczej dzieci, nie należące do nikogo.

— W kulcie dla bezwzględnej prawdy?

— Nie. O, nie, panie.

— W kulcie złudzeń, kłamstwa?

Spajrzał na mnie z żalem, widząc, że nie zrozumiałem go. I wówczas dopiero domyśliłem się tragizmu, jaki krył się za jego metodą objektywną.

— Postaram się dać im to, czego mnie brakło w dzieciństwie a co powinno w dalszem życiu łagodzić, przesłaniać zbytnią surowość, okrucieństwo prawdy...

— Co takiego?

— Nieco ciepła, pobłażania serca — ludzkości trochę...

Tłum. **Jotsaw.**

Redaktor: Klemens Orchulski.

Odbito w drukarni „Kurjera Łódzkiego".

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO".

Rok VI. Niedziela, 1 grudnia 1929 roku. Nr. 49.

Uroczystości Dekertowskie w Łodzi.

Łódź święciła w dniu 24 listopada roku bieżącego 140-letnią rocznicę pierwszego zjazdu przedstawicieli miast polskich, który stanął w obronie interesów mieszczaństwa polskiego. Inicjatorem tego zjazdu był pierwszy obrońca praw mieszczańskich, ówczesny prezydent m. st. Warszawy, sprężysty organizator Jan Dekert, który odegrał niemałą rolę w wiekopomnym akcie Konstytucji 3-go Maja.

Z okazji tej odbyła się podniosła uroczystość w Resursie Rzemieślniczej w Łodzi, zakończona akademją, której fragment podajemy powyżej. W akademji wzięli udział: J.E. ks. biskup dr. Tymieniecki, przedstawiciele władz rządowych z p. wojewodą Jaszczołtem na czele, organizacje rzemieślnicze i stowarzyszenia społeczne. Fot. A. Mayer.